

Zmiana pragmatyki urzędniczej

domaga się dyskusji publicznej

„ABC” oddaje chętnie swe łamy dla omówienia tej sprawy

Wczoraj poruszyliśmy sprawę zamierzonej przez gabinet prof. Bartla rewizji pragmatyki urzędniczej, zaznaczając, że zdaniem szerokiego kręgu państwowych zamierzona rewizja nie byłaby w skutkach swych korzystna.

Ze stanowiska potrzeb naszej młodej administracji państwowej wzruszenie zasady stałości urzędniczej mogłoby doprowadzić do bardzo niebezpiecznych fermentów wśród personelu urzędniczego, który byłby w ten sposób pozbawiony poczucia pewności jutra.

Nikt nie twierdzi, że każdy urzędnik prze to samo, że jest stabilizowany, powinien być nieusuwalny. Byłby to absurd. Wszak art. 54 pragmatyki urzędniczej z 1922 roku przewiduje taki wypadek, kiedy ustalony w służbie urzędnik przestaje odpowiadać potrzebom administracji państwowej i może być zwolniony.

W zamierzonej rewizji pragmatyki urzędniczej chodzi więc o co innego, a mianowicie o oparcie pragmatyki na nowych zasadach, a więc o głębokie przeobrażenie prawnopublicznego stosunku urzędnika do Państwa.

Jest to sprawa zbyt wielkiej wagi, aby ją można było załatwić bez uprzedniego poddania jej wszechstronnej dyskusji publicznej.

A tymczasem, może się tak stać, iż Rząd (o ile oczywiście

gabinet Marszałka Piłsudskiego myśl tę podejmie) pewnego pięknego dnia ogłosi nowelę do pragmatyki urzędniczej, jako rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej, wydane na mocy ustawy o t. zw. pełnomocnictwach i... kłamka za-padnie.

Tak być nie może. W sprawie zasadniczych podstaw pragmatyki urzędniczej mogą być różne zdania, które w izbach ustawodawczych i poza niemi byłyby

się starły. Chodzi więc o to, aby i w obecnych warunkach prawnych takie starcie poglądów miało miejsce. W każdym razie tak poważnej sprawy „pocichu” załatwić nie można.

ABC oddaje chętnie swe łamy zarówno urzędnikom państwowym, jak i znawcom, celem wszechstronnego przedyskutowania tak doniosłej dla Państwa sprawy.

WESOŁE ECHA

— Widzisz tego pana: to jest najlojalniejszy obywatel w Polsce.

— Dlaczego?

— W niedzielę i święta w swoim własnym domu pije wódkę tylko z filiżanki

BOLESŁAW ORLIŃSKI.

5)

Przedruk zastrzeżony.
Copyright by „ABC”. Warszawa.

Mój lot Warszawa-Tokio-Warszawa

Szpara w śmigle nie zmniejszyła się wprawdzie, ale się i nie zwiększyła — pozostała dla nas znakiem zapytania.

— A myśmy już sądzili, że panowie nie przyleciecie, — przywitał mnie komendant lotniska, przy takiej pogodzie dobry gospodarz psa na dwór nie wypędzi.

Niez mordowany Kubiak polecił wtoczyć aparat do hangaru i zabrał się do szczegółowych oględzin. Po mnie przyszedł samochód, którym pojechałem natychmiast do miasta. Pierwszą moją czynnością było nadanie telegramu.

„Pribył Kazań”.

Tego rodzaju telegramy wysyłałem po ukończeniu każdego etapu do poselstwa w Moskwie. Drugi etap w linii prostej wynosił 750 kilometrów, pogoda mnie jednak zmusiła do lotu zrykami. Wnosząc z pozostałości benzyny przebyłem 900 kilometrów.

A więc po pierwszym dniu lotu dzieliła mnie od Warszawy odległość 2 tysięcy kilometrów.

Pierwsze wrażenie nie było nadzwyczaj dodatnie dla miasta. Ulice pokryte kałużami, przedmieścia zupełnie nieoświetlone, w śródmieściu również nadmiar światła nie dał się zauważyć.

Przywieziono mnie do hotelu „Kazanskoje podworje”, — były to raczej pokoje umeblowane w nienajlepszym gatunku. Zaledwie zdążyłem rozkwatować się, zjawił się komendant miasta, oraz przedstawiciel Awiachimu.

„ABC” przeświecła drożynę

Jak ludzie różnych zawodów ją odczuwają?

Dziś zabiera głos w sprawie drożyny p. Piotr Zapisek, szofer.

Szofer p. Piotr Zapisek

— Przed wojną mniej zarabiałem rubli, niż dziś złotych — mówi „ABC” szofer p. Piotr Zapisek, popularnie zwany przez kolegów „Piecha” — a mimo to lepiej żyłem.

Miałem 60 rb. miesięcznie; z tego wydawałem na mieszkanie z utrzymaniem do 35 rb., a za resztę mogłem sobie co miesiąc sprawić czy obuwie, czy coś z ubrania, czy wreszcie — zażyć części jakiejś przyjemności.

Dziś — pozornie zarabia się aż 5, 6, czy 8 złotych codziennie a człowiek się frasuje, jakby

tu powiązać koniec z końcem... A ile dyba na człowieka wydatków niespodziewanych, nim człowiek zdąży się obejrzeć łup — już ma zapisaną grzywnę; a ile razy niesłusznie!

Za czasów Makowskiego zarabiał się więcej; ale jak zaczęto robić szoferów, to stała się taka konkurencja, że dziś z trudem człowiek dochrapać się może... 250 zł.

A jak się żyje teraz za 250 zł., to nie trzeba państwu o tem mówić — zakończył p. Zapisek.

Mili goście

Przyjazd dziennikarzy czechosłowackich

Dzisiaj rano o godzinie 7 przyjechali uczestnicy wycieczki dziennikarskiej czechosłowackiej. Goście jadą dwoma wagonami sypialnemi. Na dworcu oczekiwali ich przedstawiciele dziennikarstwa z red. Dębickim, przewodniczącym związku syndykatu dziennikarzy polskich na czele, następnie przedstawiciele Ministerstwa Spraw Zagranicznych z szefem wydziału prasowego, Min. Grabowskim na czele, przedstawiciel Komisarjatu Rządu Świerczewski, poseł czechosłowacki Flieder, członkowie towarzystwa polsko-czechosłowackiego i t. d.

W sali recepcyjnej powitał gości prezes Dębicki, a odpowiadał mu kierownik wycieczki prezes syndykatu dziennikarzy czechosłowackich sen. Pichl. Goście stanęli w hotelu Polonia.

Dzisiaj rano goście złożyli wizyty oficjalne Premierowi, ministrowi Spraw Zagranicznych, Prezydentowi Miasta, Prezesowi Rady Ministrów i Prezesowi

Syndykatu. Następnie zwiedzali Zamek Królewski, Łazienki, w południe złożyli wieniec na Grobie Nieznanego Żołnierza, a o godzinie 2 podejmować ich będzie towarzystwo polsko-czechosłowackie śniadaniem w salach Hotelu Europejskiego.

Wśród gości znajduje się szereg zasłużonych propagatorów zbliżenia polsko - czechosłowackiego, żeby wspomnieć pp. Pichla, Svihovský'ego, Czervinkę, Kopeckiego, a przede wszystkim Adolfa Czarnego, który na każdym kroku spotyka się z wyrazami pełnego szacunku i uznania.

Witwome nakrycia głowy

Kapelusz

Wielkie i zagraniczne olbrzymie wybór nowe fasony poleca

WŁODKOWSKI Pl. Trzech Krzyży 18.

Komendant miasta był tatarem. Dopiero wówczas przypomniałem sobie, że przecież przyleciałem ze stolicy republiki rosyjskiej do stolicy republiki tatarskiej.

Po krótkim przemówieniu, — części oficjalnej, powitania, przybyli zaprosili mnie na kolację. Zeszliśmy na dół. Tutaj dopiero po raz pierwszy w tym dniu po 2 tysiącach kilometrów drogi mogłem spokojnie usiąść i dobrze zjeść.

Na początku kolacji, gdyśmy dopiero zdążyli rozgadać się, stał się ciekawy epizod. Do restauracji weszła jakaś niemrawa niewiasta:

— Towarzysze, ofiarujcie na podtrzymanie strajkujących górników angielskich!

Bez chwili namysłu dobyłem rubla i wrzuciłem do skarbonki. Kwestarka oddaliła się. Jeden z dygnitarzy bolszewickich wytrzeszczył oczy ze zdziwienia.

— Cóż to, towarzyszu? — Przecież wy — polski imperjalist, i składacie ofiarę na podtrzymanie strajku?

— No tak, proszę pana, przecież nasi górnicy nie strajkują.

Nie mogłem tak długo pozostać w restauracji, jakby chcieli tego bolszewicy. Musiałem wypocząć przed następnym etapem.

Zrana przed wejściem do hotelu już oczekiwał na mnie samochód. Pogoda była plugawa. Pojechaliśmy pomimo to na lotnisko, i rozpoczęliśmy uważnie rozglądać się po niebie.

W tej samej chwili od Wołgi nadciągnęło pasmo mgły i zakryło szalenie wschód. Po kilku minutach rozpoczął się silny deszcz.

Wiedziałem, że mam do przebycia bardzo trudny etap. Aż do gór Urealskich nie było wcale terenów możliwych do lądowania. Wszystkie chmury, w któ-

rych nurzałem się dnia poprzedniego, poszły dalej na wschód i oczekiwały na mnie przed Uralem.

Przygnębiony, powróciłem do miasta; postanowiłem przeczekać dzień w Kazaniu.

Dopiero teraz mogłem dokładnie przyjrzeć się miastu. Krzywe uliczki, bezpretensjonalne kamienne domy, liche bruki, — oto zewnętrzny widok stolicy republiki tatarskiej. Ludność na ulicach mieszana, więcej zresztą rosyjan, niż tatarów. Na sztyldach pomimo to język tatarski na pierwszym miejscu.

— A w tym oto domu sprawował sądy Pułaczow, — odezwał się towarzyszący mi komisarz bolszewicki.

Historyczny dom niczem nie różnił się od innych, tak samo bezbarwny, tak samo pozbawiony jakiegokolwiek stylu architektonicznego.

Kubiak, zmęczony pracą poprzedniej nocy, położył się natychmiast spać, ja zaś, żeby zabić czas, rozpocząłem wędrowkę po mieście. Nic jednak nie przysłużyło do siebie specjalnej uwagi. Liche meczety wcale nie nosiły na sobie cech łączności z egzotycznym wschodem. Jeszcze liczniejsze cerkwie nazywały swoim jednostajnym „stylem”. Znać było po nich odtąd, że zbudowane były przez ludność napływową. Na niektórych widniały lakoniczne szyldy:

„Klub ... pulku piechoty”.

Mury cerkwi były oblepione plakatami, wzywającymi wszystkich obywateli do czytania pisma „bezbóznik”. Od czasu do czasu na ulicy spotykałem popa, zawsze w postrzępionych szatach.

Na szarem tle tego miasta piękny kontrast stanowił kreml kazański — wyniosły dumny gród, na murach swoich noszący ślady wojny niepodległości za czasów Iwana Groźnego, walki półdzikiego plemienia tatarskiego z pseudo-cywilizacją rosyjską.

(C. d. n.).